ROK CZWARTY.

№ 23.

WARSZAWA

D. 24 maja (5 czerwca)

1859.

Niedziela

6ta po Wielkiejnocy.



REDAKCYA CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj Nr. 1527.

Prenumerata rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie kop. sr. 90. kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k sr. 15, Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jednoz pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo)

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wszechmogący a wieczny Boże, spraw, iżbyśmy zawsze chętnie dopełniali świętą wolę i Majestatowi twemu szczerem sercem służyli. (Kollekta na Niedzielę między oktawą Wniebowstąpienia).

Wniebowstąpienie Pańskie.

Łączmy dziś wraz z anioły głośną pieśń wesela,
A wzniosłszy się wysoko nad ziemię sercami,
Padnijmy w duchu wiary u stóp Zbawiciela,
Co po Bożej prawicy króluje nad nami.
Umęczony od grzesznych Boski Pan aniołów,
Dni czterdzieści na ziemi ciesząc swych wybranych,
Przelawszy swoję władzę w ręce Apostołów,
Sam wstąpił na niebiosa po mękach doznanych.
Ale jeszcze widomie pozostając z niemi,
Zaczem Go przed ich wzrokiem jasna skryła szata,
Przyrzekł im uroczyście pozostać na ziemi,
Z kościołem swoim świętym do skończenia świata.
I teraz wziąwszy losów człowieczeństwa szalę,
Okiem świętéj opieki strzeże ludzkie plemię,
I przyjdzie kiedyś ztamtąd w niepojętéj chwale,
Aby w dzień ostateczny sądzić całą ziemię.
O! wzlećmy za Nim w niebo, unieśmy się duchem
Ponad ziemskie cierpienia i błędu manowce,
Abyśmy pogardziwszy cielesnym łańcuchem,
Biegli śladem pasterza jak posłuszne owce.
Z miłością Boga w sercu zdążajmy do lądu,
Kędy nas wszystkich czeka koniec ostateczny,
Byśmy nie usłyszeli w straszliwym dniu sądu:
„Nie znam was, o! przeklęci, idźcie w ogień wieczny!“
Niech każdy dar nam Boską udzielony ręką
Do uczuć nas wdzięczności i cnoty podnieci,
By Ten, który nam niebo okupił swą męką,
Mógł w niem kiedyś nas przyjąć jako dobre dzieci.

Sebastyan Fabian Klonowicz.

—

Po Janie Kochanowskim S. F. Klonowicz, jeden z najznakomitszych poetów dawnej Polski, urodził się w r. 1551 w miasteczku Sulmierzycach w Wielkiej-Polsce, na granicy Szląska, gdzie ojciec jego był burmistrzem. Nauki pobierał w akademii Krakowskiej, później przeniósł się na stałe mieszkanie do Lublina, gdzie był naprzód Pisarzem miejskim, a w r. 1600 został burmistrzem lubelskim. Pracą uczciwą i oszczędnością zebrał sobie majątek skromny, ale na nieszczęście pojął żonę, która pijaństwem, rozpustą wszystko strwoniła i zatruła mu życie. Nieszczęśliwy poeta, przywiedziony przez nią do największej nędzy, w szpitalu zakończył dni swoje 1608 r., mając lat 57.

Uczciwy i zacny przez całe życie, prawą postępując drogą, gdy śmiało prawdę wypowiadał, a złe postępki surowo karcił, wywołał przeciwko sobie okrzyk niechęci i miał wielu nieprzyjaciół. Śmierć nawet zawczesna nieszczęśliwego Klonowicza przebłagać ich zawziętości nie mogła. Krewny jego, mieszczanin Lubelski wystawił mu nagrobek, a w naszych czasach ksiądz Siwicki proboszcz w Sulmierzycach wzniósł mu jako w gnieździe rodzinnem pomnik.

Nienawiść, jaką obudził pomiędzy złymi, była tak wielką, że się mścili nad jego pismami; palono je i niszczono w rozmaity sposób, i dlatego pierwsze wydania są bardzo rzadkie.

Zpomiędzy pism Klonowicza na pierwszem miejscu stoi poemat p. n. *Flis, tojest spuszczanie statków Wisłą,* w którym opisał żeglugę Wisłą, jaką sam odbył, płynąc do Gdańska w r. 1594. Tu zachował wiele wyrazów i wyrażeń flisów, a zarazem opisując różne wybrzeża Wisły, wzniesione nad niemi miasta, zachował podania ludu, tak o nazwisku rzek wpadających do niej, jakoteż i o rozmaitych uroczyskach.

Drugi poemat większych nierównie rozmiarów, jest obszerna satyra p. n. *Worek Judaszów, to jest złe nabycie majętności.* W nim w dosadnych obrazach maluje złodziei rozmaitych rodzajów, świętokradzców, chciwych dostojeństw, złodziei okradających ojczyznę własną, próżniaków, leniwców, oszustów w lisiej skórze, łotrów, co się pod powagę prawa kryli, wreszcie wilków w baraniej skórze. Ta to satyra obudziła przeciwko niemu rój zawziętych nieprzyjaciół, którzy za życia pokoju mu niedali, a po śmierci urągali jeszcze; bo źli ludzie nie cierpią nigdy cnoty i prawości.

Dla wzoru z *Worka Judaszowego* przywiedziemy mały ustęp, w którym Klonowicz maluje próżniaka:

Dobrze powiedział jeden: źle się czynić uczą
Ludzie, gdy nic nie czynią, a brzuch tylko tuczą;
Bowiem gnuśne lenistwo, luźne próżnowanie,
Bez pracy, bez frasunku chce mieć wychowanie:
Jemu być na weselu, jemu na pogrzebie,
Jemu pierwej niż komu sieść na cudzym chlebie,
On idzie za trębaczem, on idzie za dudą (1),
On się dziwować idzie za lada obłudą.
On wie, gdzie komedya, na czyim obiedzie,
Gdzie trąbią niedźwiednicy, tańcują niedźwiedzie;
On wie, kto w miasto wjechał, jako wiele koni,
W jakiej barwie, co za strój, co mają za broni,
Jak się zowią, gdzie jadą, gdzie mają gospodę,
Jako pan urodziwy, jako strzyże brodę;
Częsty gość a niewdzięczny nawiedza sąsiady,
Nie dba na urąganie, byle zjeść obiady.
Więc w oném próżnowaniu zechce się rozkoszy:
Wstawszy idzie do karczmy, jeśli ma co groszy,
Tam każe piwo nosić, z zadzbania wygląda,
A na przyszłe się czasy najmniej nie ogląda.
Wodzi za sobą łotry, wszetecznice, franty,
Pierwej pieniądze trawi, potem też i fanty;
Z barłogu wstanie, tam już myśli nieochotne,
Włoży za nadra ręce, ręce nierobotne,
Tu się już do kradzieży otwierają wrota,
Gdy żebrać u kościoła młodemu sromota.

(1) Wówczas dudarze stanowili ludowych jedynie grajków.

———

Skutki zazdrości.

—

Przed dwoma laty, w jednym ze środkowych domów ulicy Sto Jańskiej w Warszawie, był sklep skór niejakiego Mateusza Krzywodębskiego. Młody kupiec, bo zaledwie 24 lat wieku mógł sobie liczyć, prócz tego trudnił się

rymarką, miał kilku czeladników i kilku terminatorów, a połączone jedno z drugiem szło mu jakoś dobrze. Bogobojny, pracowity, rzetelny i trzeźwy umiał sobie radzić i utrzymać dobrą o warsztacie i sklepie opinią, na jaką nieboszczyk jego ojciec Kasper Krzywodębski zasłużył.

Na kilka miesięcy przed czasem, w którym się ta historya zaczyna, ożenił się on z ubogą dziewczyną, sierotą po stolarzu, która prócz urody i poczciwości nic mu nie wniosła do domu. Przepraszam, bo zapomniałem, że razem z nią Kasper Krzywodębski przyjął jej stryja Hipolita, starca już siedmdziesięcioletniego, który ją wychował dawniej, a teraz uciuławszy sobie parę tysiączków, chował je skrzętnie, narzekając na biedę i niedostatek.

Pierwsze miesiące pożycia szły jakotako: Marysia kochała męża, krzątała się około domowego gospodarstwa, śpiewała jak ładne ptaszę na wiosnę, a Mateusz patrząc na taką radość i porządek w domu, coraz to więcej przywiązywał się do młodej żony, stroił ją jak nie przymierzając wielką panią, choć sąsiedzi gadali: nie psuj Mateuszu kobiety, bo zobaczysz, wlezie ci za skórę, że sobie potem i rady nie dasz. Ale gdzie mu tam było gadać o tem, kiedy Mateusz po uszy był w żonie swej zakochany! Często bywało, zerwie się od warsztatu, biegnie czy do sklepu czy do kuchni i dalejże Marynię pieścić, a gdy mu wypadnie gdzie wyjść na miasto, to ją ubierze, wycacka i prowadzą się we dwoje, tak, że jedno bez drugiego ani rusz.

Lecz jak wszystko na świecie, tak i pierwsze dwa miesiące zleciały szybko; Marynia czegoś posmutniała, a Mateusz zrobił się zamyślonym. Całował żonę równie czule jak dawniej, kochał ją tak samo, tylko przy tem wszystkiem miał coś na sercu, bo wzdychał, kręcił się po sklepie, a jak tylko spostrzegł, że Marynia zajęta, wymykał się z domu i wracał za parę godzin, ukrywając przed żoną cel takich wycieczek.

Nie podobało się to Mateuszowej; a że była kobietą strasznie ciekawą i na nieszczęście jeszcze bardziej zazdrosną, więc przypuszczała sobie niestworzone rzeczy, płakała pokryjomu, złościła się, dokuczając mimowoli mężowi i domownikom; bo wiadomo jest, że jak kto ma głowę czem innem zaprzątniętą niżeli tem co potrzeba, to gospodarstwo idzie z musu i zawsze czegoś nie dostaje w domu.

Stryjaszek jej nie mając co do roboty, po całych dniach włóczył się po mieście; do południa przesiedział w kościele, a po obiedzie wlókł się do jakiego ogródka i ciągnął bawara z przyjaciołmi, gawędząc o różnych nowinkach i dawnych czasach. Kiedy znów wieczorem powrócił do domu, to pierwszemu lepszemu rozpowiadał to wszystko, co widział lub słyszał w mieście. Zdarzyło się pewnego dnia, że stryjaszek trochę sobie podchmielił, a wszedłszy do warsztatu, zastał samego Mateusza siedzącego przy oknie.

— Ej figlarzu! krzyknie zadumanemu nad uchem, przeniewierzasz się żonie.

— Kto, ja? zawoła prędko Mateusz, zrywając się z krzesła jak oparzony; a niechże mię Bóg broni.

— Ej! bratku, broni czy nie broni, ale kogo ja to widziałem przed godziną mospanie z wysoką marmuzelą?

— To chyba nie mnie stryjaszku, odpowiada cały czerwieniąc się Mateusz.

— Żartuj zdrów, rzeknie, klepiąc go po ramieniu stryjaszek, ale u starego dobre oczy. Ho, ho! widziałem ja mospanie, jakeś ją prowadził pod rękę koło Krasińskiego ogrodu. No, no! nie dokazuj, bo Marynia djablo zazdrosna, a nawet co ci tam kaduk nadał wdawać się z temi kapeluszowemi?... osmyczy cię jak dudka i basta!

Mateusz nic na to nie odrzekł i wyszedł do swojej izdebki, lecz na nieszczęście Marynia przypadkiem słyszała ze sklepu całą ich rozmowę. Jakby ją kto gorącym ukropem polał, zczerwieniła się biedaczka po same oczy, w głowie jej się zamąciło, łzy w oczach stanęły, i byłaby takiego narobiła w domu hałasu, gdyby nie nowa myśl, która jej przyszła. Mateusz po chwili ubrany w świąteczne suknie wszedł prędko do sklepu, otworzył szufladę kassy i nic nie mówiąc, zaczął wybierać pieniądze.

— Mateuszku, odezwie się do niego, hamując ile możności gniew swój i oburzenie, a gdzież to idziesz?

— Życie moje Maryniu, mam bardzo pilny interes: chcę pogadać o nowe skóry lakiero-

wane, co tu jeden z Paryża sprowadza; dlatego nie czekajcie na mnie z kolacyą, bo niezawodnie późno powrócę.

— A ja chciałam cię prosić, żebyśmy dziś poszli do teatru, rzeknie Marynia znowu, jeszcze bardziej rozdrażniona.

— O, dziś nie mam czasu moja duszko, na żaden żywy sposób nie mam; to tam jutro, po jutrze...

— Mój drogi! dzisiaj... mój Mateuszku, zrób mi tę łaskę dzisiaj, mówi do niego.

— Ale powiadam ci, nie mogę — i jakby z niechęcią wysunął głowę z jej uścisków i poszedł do izdebki, szukając kapelusza,

Marynia cała płonąc z oburzenia i gniewu, wpadła do stryja:

— Stryjaszku! każcie tu zamknąć sklep, bo ja zaraz wychodzę, mam bardzo pilny interes, i może tak prędko nie wrócę; tylko cicho stryjaszku na miłość Boską, żeby nikt o tem nie wiedział.

— A czy ich tam co podleciało, mówi do siebie staruszek. Oj! źle młodzi, oj! źle, za moich czasów takich rzeczy nie bywało.

Tymczasem zmierzch zapadał na dworze, Mateusz jak wypadł z domu, tak ani się oglądając, biegł przez Stare-Miasto, Gołębią i Długą ulicę. Marynia okrywszy się salopką, o kilka kroków, tamując prawie oddech, biegła za nim, a bojąc się stracić Mateusza z oczu, odpychała przechodzących, którzy jej na drodze zawadzali. Nakoniec on wszedł do hotelu Polskiego, Marynia za nim. Lecz na górze dokąd się Mateusz udał, zgubiła ślad jego. Czeka więc i czeka w bramie, nie widać nikogo; ale po półgodzinnem może staniu schodzi z piętra ukochany jej Mateusz, trzymając pod rękę jakąś wysoką i czarno ubraną kobietę, której twarzy z powodu ciemności i gęstej zasłony spadającej od kapelusza rozpoznać nie może.

— Dorożka! krzyknie Mateusz, i skoro ta nadjechała, wsadza ową kobietę, sam także wsiada, zamyka drzwiczki i jadą ku Bielańskiej ulicy.

Marynia dalejże do dorożki i gonić; lecz na nieszczęście żadna w bliskości hotelu nie stała, a oni tymczasem skręcili w Bielańską i ani sposobu dogonić ich lub wyśledzić.

— O! Boże, mój Boże! jakżem ja nieszczęśliwa, zaczyna wyrzekać zapłakana Marynia, a załamując ręce, oparła głowę o ścianę i tłukła czołem z rozpaczy i żalu nad niewiernym małżonkiem. Będę czekać choćby do rana, a muszę odkryć te niecne konszachty... Oj! zrobię awanturę, bo zrobię. Niech mię potem wypędzi, niech wypędzi, wszystko mi już jedno; życie obrzydło, bom utraciła szczęście całe.

Wśród takich niespokojności, żalu i wyrzekań przeczekała biedna Marynia do godziny jedenastej w nocy. Zajechała znów dorożka przed hotel; Maryni serce drży okropnie. Mateusz wysadza z największą grzecznością ową kobietę i oboje idą na schody. Nie myśląc już o niczem, cała płonąc od gniewu, idzie za nimi na górę, i gdy oni weszli do pokoju hotelowego, ona jak furya wpada za nimi, zrzuca płaszczyk z siebie, a przystępując z iskrzącym wzrokiem ku mężowi, krzyknie:

— To tak Mateuszu dotrzymujesz swej żonie wiary, którąś jej przyrzekł w kościele?

Mateusz jakby piorunem rażony zadrżał na widok jej, albowiem w tym gniewie straszniejszą była nad wszelki opis.

— A ty moja pani, ktokolwiek jesteś, mówi dalej do przelęknionej kobiety, jakie masz sumienie, bałamucąc mi męża, moje szczęście zatruwać? Trzeba być na to... ostatnią!

— Milcz! krzyknie Mateusz, zatykając jej usta ręką.

— Daj pokój uczciwy i zacny Mateuszu, odzywa się owa nieznajoma, zdejmując z głowy kapelusz; moja pani popatrz, czy kobieta w takim wieku jak ja może kogobądź obałamucić?

Marynia spojrzy po niej, aż tu wstyd jeszcze bardziej niż gniew przedtem zrumienił jej lica. Owa nieznajoma, przedmiot mniemanych zabiegów Mateusza i jej zazdrości, była to blisko sześćdziesięcio - kilkoletnia kobieta z pomarszczoną twarzą, bladą, zmizerowaną. Ubrana skromnie ale przyzwoicie, ze łzami w oczach spojrzała na zmartwionego Mateusza, a wziąwszy go za rękę, rzekła powoli:

— Mój drogi przyjacielu, bywaj zdrów; powiedziałam ci, że ja nikomu szczęścia nie przyniosę.—A ty kochana Maryniu nie trap napróżno męża, bo Bóg widzi, nie znam lepszego i szlachetniejszego człowieka nad twego męża, który cię kocha nad życie.

Marynia dalejże na to w płacz i do nóg owej pani, przepraszając.

— Mój Mateuszu, już nigdy nie będę o ciebie zazdrosną, krzyknie, padając mu również do nóg. Lecz on jakby nie widząc tego jej żalu, cały zadumany podniósł ją z ziemi, pożegnał ową nieznajomą i zabrawszy zapłakaną Marynię najspokojniej, powiódł ją ku domowi.

Nazajutrz raniutko Mateusz odebrał z hotelu list następujący:

Szanowny panie Mateuszu!

Proszę cię, przeczytaj ten list żonie. mam nadzieję, że wczorajsze widzenie się nasze było ostatniem. Co ci jestem winną, Bóg tylko jeden o tem wiedzieć raczy. Od lat kilkunastu nie doświadczyłam tyle rozkoszy, ile w ciągu tego jednego miesiąca, w którym zostawałam pod twoją wspaniałomyślną opieką. Ze wszystkich dobrodziejstw moich, jakie ludziom dawniej, kiedym była zamożną, czyniła, ty jeden za to, com sobie za nic uważała, wynagrodziłeś najszlachetniej wszelkie krzywdy i niewdzięczności stokroć boleśniejsze od samych dobrodziejstw. Przed dwudziestu laty, niech o tem wie twoja żona, podałam rękę ubogiemu rzemieślnikowi, którym był twój dobry ojciec. Paręset złotych pożyczki było dla niego dostatecznym zasiłkiem, było źródłem przyszłej dla jego domu i familii pomyślności. Przyszły nieszczęśliwe na mnie czasy, kolejno straciłam majątek, męża, familię i zdrowie; tyś odszukał mię wśród nędzy i ciężkiej pracy na kawałek chleba, podałeś najszlachetniej rękę opuszczonej, dałeś skosztować owoców niezasłużonej nawet wdzięczności. Ale zważ mój Mateuszu, co ci już dawniej mówiłam, że przy tem wszystkiem jestem dumną i mam to przekonanie, iż póki żyć mogę, i zapracować na siebie potrafię. Przyjęłam twoje dobrodziejstwa, ale pod warunkiem ścisłej tajemnicy; bo jakkolwiek czyn twój był najszlachetniejszy, jednak w przekonaniu i sumieniu mojem ubliżał mi, albowiem tobie obarczonemu familią jestem ciężarem, a stać się mogę powodem do zakłócenia szczęścia domowego. Stało się, jak przewidziałam. Od dziś więc proszę zapomnij o mnie i nie rób starań, żeby odkryć ostatnie moje schronienie. Przedemną stoi grób, a przed tobą całe życie i bodaj takie piękne, jakieś zaczął. Ja już dobrodziejstw twoich nie przyjmę, chociaż cię kocham jakby własnego syna. Bywaj więc zdrów, bywaj szczęśliwy; żonę najserdeczniej przeproś odemnie, żem jej mimowoli tyle zmartwienia zrządziła, a kochaj ją, bo to dobra kobieta, tylko niech mniej na przyszłość będzie zazdrosną o męża, który jest wzorem mężów i ludzi zacnych na świecie. *Izabella.*

Możecie sobie wyobrazić, co się działo w domu Mateuszów po przeczytaniu takiego listu. Marynia z żalu i rozpaczy po sto razy padała do nóg mężowi, przepraszając za tak nierozważny postępek, on miejsca znaleść sobie nie mógł; nie robił wyrzutów żonie, ale zawsze zobojętniał dla niej i po całych dniach oboje jeździli od domu do domu, pytali się, szukali, lecz wszystko napróżno.

Dopiero w miesiąc potem blady jak trup Mateusz powrócił z miasta.

— Maryniu, pójdź! rzeknie, porywając ją gwałtownie za rękę, a wprowadziwszy do dorożki, kazał jechać czemprędzej na Tamkę.

Przed ubogim, w ziemię zapadłym domkiem zatrzymała się dorożka. Mnóstwo ludzi ciekawych stało przede drzwiami, rozprawiając poważnie. Mateusz przecisnąwszy się przez tłum, wprowadził drżącą żonę do izdebki i wskazał palcem leżącego na kilku krzesłach znędzniałego trupa. Marynia krzyknęła przeraźliwie i upadła zemdlona. W umarłej poznała ową panię. Jak ludzie mówili, umarła biedaczka z niedostatku, albowiem wyprzedawszy się do ostatka, przez kilka dni nie wychodziła z domu i dzisiaj dopiero odbiwszy drzwi gospodarz wobec policyi, znalazł swoję lokatorkę nieżywą.

Mateusz sprawił jej bardzo świetny pogrzeb, na którym i kilka karet się znalazło, albowiem nazwisko zmarłej znanem było dawniej w Warszawie, a bogaci przyjaciele z kart pogrzebowych dowiedzieli się raz ostatni o swojej kiedyś zamożnej przyjaciołce. Mateusz od tego czasu posmutniał bardzo, pracuje jak dawniej i dobrze mu się powodzi. Ale Marynia to zupełnie straciła spokojność; zawsze jej się zdaje, że widzi na katafalku śmiertelne oblicze biednej kobiety i zrywa się w nocy i krzyczy i woła ratunku, a doktorzy ją leczą Bóg wie na co, chociaż ona wie dobrze, iż ciało jest zdrowem, a tylko dusza słabuje.

Godziny po robocie.

I.

—

Pan Michał *Dorosz* spędziwszy młodość wojskowo jako lekarz pułkowy, osiadł na dalsze lata we wsi Kalinówce, tuż pod jednem z najwięcej fabrycznych miast kraju położonej, którą po ojcu odziedziczył. Wieś ta, pomimo znacznej rozległości, dobrej gleby, lasów i rzeki, która ją przerzynała i wogóle pomimo szczęśliwego położenia, w opłakanym zostawała stanie; przechodząc bowiem z powodu długiej nieobecności p. Michała w ręce różnych dzierżawców, do upadku zupełnego doprowadzoną była. Ziemia z rodzaju swego dobra i urodzajna, dla braku inwentarza, któremu zaniedbane pastwiska i łąki żadnej prawie nie dostarczały paszy, nie przynosiła intraty, jakiej się spodziewać należało, większa jej część leżała odłogiem. Budynki dworskie i chałupy włościańskie prawie się waliły; kałuże po podwórkach i nagromadzone śmietniki przedstawiały obraz upadku. Nie było widać owych sadów wiejskich tyle uroczych zielonością, gdzie niegdzie tylko stała samotna dzika grusza lub śliwa, albo sterczał komin obdarty i popękany. Smutno było i bezludno w Kalinówce; kiedyniekiedy tylko ujrzałeś chudą krowinę wlokącą się przez wieś, albo spotkałeś wędrownego dziada, którego przybycie oznajmiało szczekanie psa wiejskiego. Włościanie częścią porozpędzani, częścią głodem i nędzą ciśnięci, rzucali rodzinne gniazdo i szli w świat szukać chleba; dlatego też i ludność była bardzo mała, którą w największej części mogłeś zobaczyć w brudnej i na końcu wsi stojącej, karczmie.

Smutniejszy jeszcze był stan moralny tej ludności. Bez szkółki i opieki dworu, którego nie było, pokolenie całe wychowało się w ciemnocie, prawie bez pojęć religii i obowiązków człowieka; kłótnie, zazdrość i występki gnieździły się w tej biednej, opuszczonej ludności. Złe to powiększało nadto sąsiedztwo osady fabrycznej, mieszczącej w sobie ludzi różnych zasad i pojęć, którzy łącznie z mieszkańcami Kalinówki potrzebowali poprawy i upomnienia.

Jako doktor p. Michał miał obszerne pole do działania przeciwko tak szerzącemu się złemu, a jako człowiek zacnego i chrześciańskiego serca nie lękał się trudności, jakie na tej drodze napotykać musiał. I dlategoto, chociaż miał płacę retutową i kawał ziemi, z których się wygodnie mógł utrzymać, nie chciał przecież być bezużytecznym dla innych, nie chciał przerwać tej nici, która go z ludnością miejscową jednoczyła, i z tego względu trudnił się dalej sztuką leczenia. Wezwany bowiem do chorego, często oprócz lekarstwa dla ciała, rzucił niejedno życzliwe słowo to pociechy, to przygany, jeżeli widział co złego, to rady przyjacielskiej, które niosło uzdrowienie wątpiącym, zepsutym, lub nieszczęśliwym duszom. Ztąd też był powszechnie nietylko w swojej wiosce, ale i na okolicę między robotnikami znany i kochany, ciesząc się ich najwyższem zaufaniem. Dom jego stał otworem dla potrzebujących wszelkiego rodzaju pomocy; mieszkańcy Kalinówki i sąsiedniej osady fabrycznej w każdym razie smutku, choroby, lub nieszczęścia udawali się do p. Michała.

Słówko lub rada udzielona jednemu przechodziła naturalnym biegiem rzeczy ludzkich do uszu innych, upowszechniała się i sprowadzała drugich w progi tego zacnego przyjaciela ludzkości. Tym sposobem w godzinach po ukończonej czy to w polu, czy w warsztatach robocie, zbierała się gromadka włościan i sąsiednich rzemieślników przed domem Dorosza, której jej różne rady dawał i różne rzeczy tłumaczył, tak dalece, iż odwiedziny te mniej więcej gromadne, zamieniły się prawie w konieczne i stałe – doktor nigdy im nie odmawiał swojej gościnności.

Pan Michał nie taił jednak przed sobą trudności, jakie go w dziele przedsięwziętej poprawy czekały; rachował wiele na własne siły, ale im niezupełnie dowierzał. Dlatego zbliżył się w tym celu z dziedzicem sąsiedniej wsi Jawora, do którego należała gmina Kalinówki, człowiekiem zacnym i również pragnącym szczęścia swoich włościan i dobra ogólnego innych. Proboszcz miejscowy, młody i pełen poświęcenia kapłan przyłączył się również do owej szlachetnej spółki dwóch dziedziców. A więc w imię Boże!

Pan Michał był tego przekonania, w czem miał największą słuszność, że najlepszą nauką dla ludzi jest dobry przykład. Aby

z większym skutkiem działać, poszedł wbrew ogólnemu a zgubnemu zwyczajowi nabywania i posiadania rozległych przestrzeni ziemi bez odpowiednich do tego warunków, i postanowił odprzedać część swej ojcowizny. Krok ten sprawił, iż w lat 10 część majątku, który sobie pozostawił, przynosiła mu prawie dwa razy większe korzyści; wyłożone bowiem pieniądze na kupno inwentarza, uprawę ziemi, zaopatrzenie się w narzędzia rolnicze, podniesienie budynków i zjednoczenie rąk do pracy należycie urządzonej, nie mogły zostać bezowocnemi.

Rzeczka, która przepływała przez Kalinówkę, ujęta w brzegi stałe, nie zalewała pól, ale użyta do nawodnienia okolicznych łąk, powiększyła paszę dla inwentarza; oprócz tego wystawiony młyn na tak urządzonej wodzie nie odrywał już tak mieszkańców od pracy, którzy dawniej szukać musieli mlewa o milę i więcej od domu. Oprócz tego dziedzic Kalinówki obok uprawy roli, chciał zaprowadzić u siebie rodzaj przemysłu rzemieślniczego, i przy pomocy kapitałów własnych oraz sąsiada swego założył on na spółkę parę dobrych kuźni, którym las miejscowy dostarczał obficie węgla, a które przy sąsiedztwie fabrycznego zakładu weszły w ciąg jego wyrobów i znaczny przynosiły dochód. Niedługo stanęła i przędzalnia, która dla tych samych powodów opłacała się znakomicie, dając pole zarobku licznym pracownikom. Oprócz zaś zysku pieniężnego pracownie rzeczone przynosiły tę korzyść, iż w nich od sprowadzonych początkowo zkądinąd robotników miejscowa ludność kształciła się na rzemieślników, których u nas tak jeszcze nie dostaje. Wogóle Kalinówka pod ręką zacnego doktora w lat kilka była do niepoznania; widok jej bawił oko: drogi wysadzone drzewkami, płoty całe, chaty wiejskie poodnawiane, pola uprawne, łąki zieleniące się, wszystko to dawało obraz dostatku i szczęśliwości.

Ale pozostała Doroszowi ważniejsza część pracy, bo umoralnienie i oświecenie ludności. Założył tedy we wsi szkółkę połączoną z ochronką, w której dzieci wiejskie pobierały nauki, ksiądz proboszcz niemało tu pracował; w dopełnieniu zaś szkoły, oprócz przykładu, który jest najlepszą nauką, oraz umoralnienia, jakie uczciwa i dobrze urządzona praca sama przez się daje, p. Michał wpływał na mieszkańców radami i oświecaniem, których im przy odwiedzinach, jako to wyżej wspomnieliśmy, zawsze chętnie i z miłością udzielał.

I tym razem grono wieśniaków i robotników wracając z pogrzebu Andrzeja, kmiecia z Kalinówki, kochanego powszechnie, zawitało przed dworek Dorosza, który ich jak zawsze przyjął z gościnnością; jacy zaś między nimi byli ludzie, poznamy ich następnie, a teraz muszę wam opowiedzieć historyą o zmarłym Andrzeju, która nam tu do rzeczy należy.

Andrzej urodził się w Kalinówce; przed dwudziestu kilku laty pojął za żonę córkę gospodarza, która mu wniosła w posagu dom i kawał gruntu. Praca i staranność obojga Andrzejów zapewniła wygodne utrzymanie im i trojgu dzieciom; oprócz tego przez oszczędność i zabiegliwość swoję zebrał on sobie pewny grosz zapasowy. Ale miał on brata, zamożnego kolonistę, gdzieś nad Wisłą mieszkającego, który wszedłszy nieoględnie z berlinkarzami we spółkę spławu zboża za granicę, wypadkiem losowym przez zatonięcie ładunku stracił swoje mienie, zostawiwszy drobne dzieci i długi, jakie się potem pokazały. Wspomnieć tu należy, że Andrzej po śmierci brata, uległszy panującej żądzy wielu jemu podobnych, dla zaokrąglenia, jak mawiał, swojej posiadłości, przykupił część sąsiedniej zagrody, pustkę po zmarłym rolniku, na którą zaciągnąć musiał pożyczkę od arendarza, i to na dobry procent. Położenie przeto jego było bardzo trudne, w chwili, kiedy po śmierci brata spadły nań nowe obowiązki. Dla poszanowania bowiem pamięci ojca sierot, których został opiekunem, oprócz straconej spuścizny braterskiej, musiał jeszcze dopłacić gotówką za długi, które pozostały niezaspokojone. Nastały lata nieurodzaju, potem słabość Andrzeja, które go do tego doprowadziły, iż wierzyciele i jemu zabrali całą chudobę, tak dalece, iż dawniejszy właściciel dziś szukać musiał zarobku w sąsiedniej fabryce, aby wyżywić swoję i brata zmarłego rodzinę. Wracając razu pewnego od roboty, usłyszał nagle jakiś krzyk na wsi, za którym pobiegłszy, ujrzał dziecko tonące w rzece. Idąc za popędem serca, i obowiązkiem każdego chrześcia-

nina, rzuca się w wodę i wynosi na ląd dziecię nieszczęśliwej matce. Ale ponieważ po pracy był mocno rozgrzany, powróciwszy do domu, z zaziębienia zapadł na ciężką chorobę i mimo pomocy należytej, życie niedługo zakończył. Szczęście tylko, że syn jego najstarszy, już dziś młodzian 20 letni, oddany przez ojca do fabryki, jako zdolny rzemieślnik pozostał podporą jedyną, chociaż niewystarczającą dla matki i rodzeństwa całego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Klon cukrowy.

—

Między roślinami wydającemi cukier, ważne trzyma miejsce *klon* tak zwany *cukrowy*, bo w jego soku słodkim wiele jest cukru, który podobnie jak ze trzciny się wywarza. Ten klon rośnie dziko w lasach północnej Ameryki. Przed rozwinięciem liści okazują się białe kwiatki. Sok z tego klonu wytaczać można na wiosnę, wywierciwszy dziurę w pniu; sok ten odgotowany, prędko się zgęszcza i zamienia w syrop. Z każdej wywierconej dziury można otrzymać wiadro soku, który mieszkańcy tamtejsi za dodaniem mleka, krwi bydlęcej, gotują, czyszczą, nalewają w formy gliniane, i po należytem wystaniu otrzymują cukier krystalizowany. Na jeden funt cukru potrzeba do 2ch garncy soku. Nie można jednak w jednym pniu więcej wiercić dziur jak cztery boby drzewo obumarło. Wiercenie to przypada w miesiącach wiosennych, któremi tam są: Luty, Marzec i Kwiecień; najobficiej sok płynie, gdy są ciepłe dnie, a chłodne noce.

Ważne uwiadomienie dla młodych rzemieślników.

(nadesłane od Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiem).

—

Niejeden z was kochani młodzieńcy! radby nabyć biegłości w swojem rzemiośle, a nie ma sposobności ku temu, bo albo nie wie, dokąd się udać, ażeby gruntownie obeznać się z robotą, albo też chociaż wie o takiem miejscu, to mu trudno dostać w niem *miejsca*, albo też nakoniec nie ma o czem udać się do odleglejszej fabryki, gdzieby się wiele pożytecznych rzeczy mógł nauczyć i obeznać ze wszystkiemi ulepszonemi środkami pracy. W teraźniejszych czasach w każdym niemal dworze znajdują się różne machiny rolnicze: młockarnie, sieczkarnie, rozmaitego rodzaju pługi i t. p. Gdy się u takiej maszyny coś zepsuje, gdzież szukać robotnika, coby ją naprawił? Slusarz w miasteczku temu nie poradzi, kowal wiejski tymbardziej; w takim razie trzeba machinę posłać do miasta, albo sprowadzać o mil kilkanaście rzemieślnika zdatnego. I dziedzica wiele to kosztuje i zarobek zabierają obcy rzemieślnicy miejscowym zprzed nosa. Rzemieślnik porządny i pracowity, a wyuczony obchodzenia się z machinami, mógłby sobie niemało zarobić grosza, a dziedzice nietylkoby mu z chęcią dawali robotę, ale i osadziliby na roli i pomieszkanie dali. Rzemieślnik mając pożywienie z gruntu, mógłby sobie oszczędzić pieniądz zarobny i przyjść czasem do fortuny, nie turbując się o kawałek chleba, kiedy mu starość nie pozwoli pracować. Otóż ażeby wam przynieść pomoc, Towarzystwo Rolnicze, jak wam wiadomo, głównie z właścicieli ziemskich złożone, postanowiło swoim kosztem co rok kilku młodych i pilnych, a już z rzemiosłem obeznanych terminatorów kazać uczyć stolarstwa, ślusarstwa i kowalstwa w lepszych fabrykach machin rolniczych. Tam gdy się przez lat parę młodzi rzemieślnicy dokładnie usposobią, zaraz znajdą dla siebie pomieszczenie na wsiach u właścicieli ziemskich. W tym roku Towarzystwo już przyjęło na naukę stolarstwa, syna pracowitego i poczciwego stolarza; a jeszcze myśli przyjąć trzech terminatorów kowalskich i dwóch ślusarskich. Kto więc z was na wsi zamieszkałych ma ochotę do pracy i chce korzystać z tego dobrodziejstwa, niechaj się zgłasza do szanownych właścicieli wsi, należących do Towarzystwa Rolniczego, a od nich się dowie, jak się na tę naukę dostać.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.— Warszawa d. 17 (29) maja 1859 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*